



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



884-5 : 93/438

Praca stanicowa
karłowate odrodzenie Słaska Lipiec
W-wa ok. 1920

„Wszystko przejdzie na potoku.
 „Wszystko zniknie na głębokie.
 „Co widome tylko oku.
 „Lecz idea nie przemiale”
 Zygmunt Krasiński.

1. *M. M. / 1*

Przystępując do zabrania głosu w sprawie o przyszłości Polski, pierwszorzędno znaczenia, nie mogę mojej pracy stosowniejszemi rozpocząć słowy jak temi, jakimi wielki twórca Fryderyk zadokumentował nieśmiertelną potęgę ducha. Ducha ludzi, i ducha narodów. Nie mogę. A nie mogę tem bardziej, że ta potęga przejawiała się w kraju oderwanym od wspólnego ciała cały szereg wieków, skazanym przez potężnego wroga na śmierć, od którego jakby na urągowisko nad jego niedolą odwróciła się Polska matka jego rodzona, z pod którego sztandaru przeszli do nieswojego obozu ci, którzy stojąc na czele narodu, niby gwiazda prowadząca biblijnych królów do grobu Chrystusa, kierować go powinni byli ku celom narodowym. Odepchniętemu i opuszczonemu, zbiedzonemu i ociemniałemu, zdawało się że grozi mu zanik, i że nie ma już siły, któraby go uratować była w stanie.

Tak się wszystkim zdawało, bo czyż inaczej na widok tego, czego ten kraj w połowie 19 wieku przedstawiał obraz zdawać się mogło?

W roku 1848 wielka klęska nawiedziła cały Śląsk. Schorowany i wygłodzony lud upadał, wołał

Colour Chart #13

Blue	White	1	1
Cyan	White	2	1
Green	White	3	2
Yellow	White	4	2
Red	White	5	3
Magenta	White	6	3
White	White	7	4
3/Color	White	8	4
Black	White	9	5
Black	White	10	5
Black	White	11	6
Black	White	12	6
Black	White	13	7
Black	White	14	7
Black	White	15	8
Black	White	16	8
Black	White	17	9
Black	White	18	9
Black	White	19	10

Centimetres

Inches

DANES-PICTA.COM

884-5 ; 93/438/
Przebieg Stanisław

Wesołowe odrodzenie śląska Łopuskiego

W-wa ok. 1920

„Wszystko przejdzie na potoku.

„Wszystko zniknie na głębinie.

„Co widome tylko oku,

„Lecz idea nie przemienie”

Zygmunt Krasiński.

1.

M6VM/1

Przystępując do zabrania głosu w sprawie dla przyszłości Polski pierwszorzędnego znaczenia, nie mogę mojej pracy stosowniejszymi rozpocząć słowy jak temi, jakimi wielki twórca Irydiona zadokumentował nieśmiertelną potęgę ducha. Ducha ludzi, i ducha narodów. Nie mogę. A nie mogę tem bardziej, że ta potęga przejawiała się w kraju oderwanym od wspólnego ciała cały szereg wieków, skazanym przez potężnego wroga na śmierć, od którego jakby na urągowisko nad jego niedolą odwróciła się Polska matka jego rodzona, z pod którego sztandaru przeszli do nieswojego obozu ci, którzy stojąc na czele narodu, niby gwiazda prowadząca biblijnych królów do grobu Chrystusa, kierować go powinni byli ku celom narodowym. Odepchniętemu i opuszczonemu, zbiedzonemu i ociemniałemu, zdawało się że grozi mu zanik, i że nie ma już siły, któraby go uratować była w stanie.

Tak się wszystkim zdawało, bo czyż inaczej na widok tego, czego ten kraj w połowie 19 wieku przedstawiał obraz zdawać się mogło?

W roku 1848 wielka klęska nawiedziła cały Śląsk. Schorowany i wygłodzony lud upadał, wołał

o pomoc dla swojego ciała i ducha. Z pierwszą pospieszył mu rząd, drugą poniósł mu poświęcony kaznodzieja krakowski ksiądz Antoniewicz. I czegoż wtedy stała się zdumiona Polska świadkiem? Oto, że gdy w jednym z misyjnych kazań swoich, odezwał się on do słuchających go nieprzeliczonych tłumów słowami: „ludu polski”, ujrzał przed sobą rozboląły nad opis wszelki po ukończonej nauce religijnej deputację, upraszającą go z pokorą na ustach, by nie obrażał Ślązaków w podobny sposób, i nazywał ich tak jak oni sami nazywać się pragną: „ludem pruskim, albo górnośląskim”.

Więc wstydzono się już na Śląsku naszym nazwy Polaka, więc pod zabójczym wpływem gadu pruskiego, za obelgę to sobie uważano, gdy przemawiający tym samym co my językiem miano to drugiemu nadawali, a sądy miejscowe z samych Niemców z zasady zawsze złożone, z szatańską radością wydawały wyroki skazujące na kary na żądanie tych, którzy dotknięci w swej godności nazwą tą w ich oczach obelżywą, w karze znajdowali dopiero satysfakcję za słowa uwłaczające ich czci. Można więc było łamać ręce z rozpaczą przyglądając się temu, można było przeżywając ten ból bólów, krzyż ciernisty kreślić w powietrzu nad krainą upadku i nieszczęścia.

A jednak!...

Śląsk Górny, trzecia mniej więcej część całego Śląska, po wojnie z Austrią koronowanego opryszka Fryderyka, na urągowisko prawdziwej wielkości wiel-

kim przez Prusaków nazwanego, podzielił los całej tej prowincji. Wchłonięty został w organizm pruski. Ale wchłonięty tylko, nie upodobniony przecież do niego całkowicie pod względem językowym. Był bowiem z mowy wszystkich niemal mieszkańców swoich polskich, zawdzięczając to przeważnie warunkom geograficznego sąsiedztwa z polskimi ziemiami. Gdy więc Śląsk Środkowy i Dolny, grube kliny niemieckie rozsadzały już wtedy potężnie w różnych kierunkach, przedstawiał on ciało jednolicie polskie, gdzieniegdzie tylko porozdzielane żyłkami niemieckiem!. I to go od losu reszty Śląska uratowało. Kiedy tam bowiem popiół już wtedy przyduszał niewal wszystko, tu tłała polskość płomieniem jasnym i silnym, zewnętrznym swoim wyglądem mało co różnym od ognia sąsiednich polskich ziem. Skoro więc nienasycony Prusak dążąc do zgotowania mu takiej samej doli jak reszcie dzielnicy którą zagrabił, zatrul mu, jak to widzieliśmy przed chwilą tak dalece ducha, że wstydział się już tej polskości swojej, mową swych ojców budził w nich strach śmiertelny, że przecież nadejść może ten okropny dla prusactwa dzień, kiedy uśpiony ale nie snem jeszcze śmierci, zbudzi się, ujawniając w nowym swem życiu groźną siłę.

Dzień ten rzeczywiście nadszedł, lud uśpiony przebudzony ze snu ciężkiego został, gmach prusactwa się zachwiał, — i dziś pada przy pogardzie dla jego nędznych budowniczych całego cywilizowanego świata. Na zegarze sprawiedliwości dziejowej na naszym Ślą-

sku, dla smoka krzyżackiego bije już ostatnia godzina. Taka sama, jaka wybiła niedawno dla tyrańskiej ciemiężycielki narodów,—Moskwy.

2.

Odrodzenie nie językowe, bo językowo nie różnił się Śląsk Górny od reszty Polski ale duchowe, datuje stosunkowo od niedawnego bardzo czasu.

Rozpoczęło się ono na niewiele przed ową bolesną epoką, gdy misjonarzowi polskiemu żalił się mową polską lud polski, by go polskim uwłaczająco nie nazywał. Działał bowiem tam już wtedy i pisał, skromny i biedny nauczyciel początkowy, który jak ta jaśkółka zwiastująca nadejście wiosny, wróżył ziemi swojej przebudzenie.—Józef Lompa.

Przyszedł na świat w nędznej mieścinie śląskiej, w dwa lata po zbrodni ostatniego rozbioru naszego kraju, wziął się do pracy gdy Prusak współzbrodniarz w tej ohydzie, patrzył z dumą jak zatrute ziarno posiane przez niego na niwie śląskiej, grubym kłosem pokrywało już jego ziemię. Widział co sprzyja rozrostowi tego kłosu, uląkł się następstw tego, i postanowił temu zaradzić. Jak zaradzić? Drogą jedyną na którą wkroczyć czuł w sobie siły,—drogą pióra. I wziął się energicznie do pióra. Ze słabym wykształceniem, pozbawiony naukowych pomocy i środków, nie krępując się tem wcale że sprawował urząd przy Sądzie pruskim w Woźnikach i stawiał na kartę swój byt, z płodnością, jak na tego rodzaju i wykształcenia czło-

wieka zdumiewającą, orał zachwaszczony przez Niemców grunt. Naturalnie w swojej orce zachował miarę nakazywaną okolicznościami, nie drażnił tych, którzy go obezwładnić mogli, ukazywał tylko ukochanemu przez siebie ludowi prawdę, ostrożnie ścierając z jego umysłu śniedź, napiętrzoną niegodziwą tyranów ludu tego ręką. A kiedy w roku naszego ostatniego powstania narodowego przeciwko Moskwie, kładł się uznojonny do grobu, odchodził w lepsze i sprawiedliwsze światy z dumą i przeświadczeniem, że nie przeszedł życia jak ten pasibrzuch i samolub, któremu stary pisarz rzymski pozostawił nieśmiertelną naukę, że niegodnym jest człowieka powołanego do lotu ku niebiosom, aby na podobieństwo głupiego zwierza, stąpał po drodze doczesnej, patrząc niby zwierz głupi, ze spuszczoną głową ku ziemi. Sto bez mała dziełek z dziedzin najprzeróżniejszych, o tematach zaczepiających o religję, język, dzieje ojczyznego kraju i gospodarstwo domowe i rolne, oto plon zasłużonego tego męża, oto spuścizna Śląskowi w chwili, gdy barbarzyńca Moskwy przy poparciu cichem jego kompana, cywilizowanego barbarzyńcy pruskiego, pławił się w drogocennej krwi naszej, zaludniając nami tundry i podziemia Sybiru.

Ale Lompa bądź co bądź jest jeno gwiazdą na niebie Górnego Śląska. Gwiazdą co prawda jasną, ale gwiazdą. Potrzeba było krajowi temu do narodowego odrodzenia słońca. I słońce na jego widnokręgu weszło. W osobie innego syna śląskiej ziemi, wielkiego i niezapomnianego Karola Miarki.

Urodzony w roku 1824, w dwadzieścia kilka lat po Lompie, zmarł on w r. 1882, w dziewiętnaście lat po nim, dokonał przecież w ciągu stosunkowo niedługiego swojego życia tego, o czem Lompa zamykając powieki, marzyć nawet najniezawodniej nie mógł.

Fortunne dla mnie losy dozwoliły mi w latach młodszych moich zetknąć się z Miarką osobiście na Śląsku, sprowadzić go do Warszawy by go tu dać poznać, w jego towarzystwie objęchać parę południowych powiatów śląskiej dzielnicy, spędzić z nim wiele niezapomnianych chwil.

Było to okragłe 40 lat temu, w dniach dopustu Bożego na tę ziemię, gdy głód nowy nawiedził ją w następstwie katastrofy atmosferycznej, gdy przy obojętności rządu, sam sobie nie był w stanie on wystarczyć. I uderzył głosem Miarki właśnie, — w dzwon trwogi. Wtedy to wielce zasłużony Redaktor Tygodnika Illustrowanego Jenike, zaproponował mi jako współpracownikowi ówczesnemu swojego piśma, abym udał się osobiście na Śląsk Górny, poznał się z Miarką, który już zasłynął wówczas w całej Polsce odrzuceniem judaszowych srebrników, jakie mu demoralizator pruski ofiarował by sprzeniewierzył się narodowemu sztandarowi, i z odwiedzin moich nad Górną Odrą zdał publiczną sprawę mało znającemu sprawy Śląska ogółowi. Pojechałem, i z dumą powiedzieć mogę w tej chwili, że praca uświadamiająca ten nasz ogół o tym człowieku i coś nie coś o ziemi której gotował on słoneczniejszą dolę, w skromnym moim dorobku lite-

rackim z 40 ostatnich lat, jest pierwszą, z jaką ośmieliłem się w roku 1880 stanąć przed sądem ojczyzniego mojego piśmiennictwa.

Rzecz szczególna, ten Karol Miarka, jak mi o tem osobiście opowiadał, acz urodzony z rodziców polskich, do 36-ego roku życia, był z ducha patriotą niemieckim i zaciekłym wrogiem Polski. Dokonała tego szkoła pruska. Ta najniegodziwsza wśród niegodziwych szkoła, wsączająca w umysł i serce jej wychowañców nienawiść do Polski, pogardę tego wszystkiego co marką polskości pokryte w świecie było. Nauczono go więc, że kraj nasz prócz kantyczek i kalendarzy żadnej literatury nie posiada, że jest krajem nędzarzy i żebraków, że nikt w nim z wyróżniających się pieniądzem od przymierającego głodem tłumu, wstydząc się jak zbrodni języka polskiego, językiem tym się nie posługuje. Tego go nędznicy pruscy nauczyli i temu on wierzył. Ale wierząc temu, jako umysł bezsprzecznie wyższy, pragnął się o tem dowodniej przekonać, a że napisawszy w duchu niemieckim powieść „Klemenso-wa Górka“ rad był usłyszeć sąd o niej głośnego już wtedy działacza na cieszyńskim Śląsku Stalmacha, przeto pojechał w odwiedziny do niego. I tu przekonał się czem był Prusak. Ujrzał zdumiony w bibliotece tego męża, szereg dzieł polskich w najprzeróżniejszych działach, wchłonał w swą duszę goszcząc pod jego gościnnym dachem natchnione strofy wielkich naszych poetów, z nieśmiertelnym Mickiewiczem na czele. To on u niego ujrzał, a reszty dokonał Stalmachą osobisty

wpływ. Kiedy więc powrócił do domu, powrócił już bez bielma na oczach, przejrzał wskroś niegodziwego wroga, i po zatrutem mu przez niego, jak o sobie pisze Mickiewicz „dzieciństwie sielskiem anielskiem“,— w młodość swoją „górną i chmurną“, i w swój „wiek męski, więk kłęski“, wstąpił odrodzonym nawskroś. Z pogardą w sercu dla tego, który ma serce jadem zakaził. I z postanowieniem nie spoczęcia, póki na całym Górnym Śląsku nie rozgorzeje polski ogień.

Do spełnienia tego wielkiego zadania dopomógł mu sam pruski rząd.

Jak wiadomo, w dwa lata po pokonaniu Francji i zagarnięciu dwóch jej pięknych prowincji, rozzuchwalony powodzeniem Bismark, zapomniawszy o słowach własnego przysłowia, że „pycha idzie przed upadkiem“, rzucił rękawicę Rzymowi. Dla ostatecznego, jak sam to publicznie wyznał zgniecenia nienawistnych Polaków. Zagotowało się więc na naszych na Zachodzie kresach, rozpoczęły się prześladowania religijne nieznanne żadnemu cywilizowanemu poństwu świata. Więzienia, jak wśród nieszczęśliwych Unitów za czasów tyranji moskiewskiej, zapelniły się księżmi, lud pozbawiony swoich duszpasterzy wypędzano z pozostałych bez duchowej opieki świątyń pańskich, najmniejszy opór rozporządzeniom rządu w sprawach sumienia, karano w barbarzyński sposób. To właśnie było wodą na Miarki młyn, to go wepchnęło z areny dziennikarskiej i wydawniczej na pole szersze politycznej rozprawy z rządem. Podniósł więc rękawicę rzuconą lu-

dowi swemu, w słynnej odezwie „Jezus, Marja Józef“, nawołując do walki z nim na śmierć i życie cały lud. A że już od roku 1869 redagował w Królewskiej Hucie szeroko rozpowszechnionego na Śląsku „Katolika“, przeto zelektryzowawszy odezwą tą ten lud, w piśmie tem wymierzał mu cios po ciosie. Naturalnie posypały się na niego kary, w celi więziennej uczyniono mu niemal stałe mieszkanie, to go jednak sił nie pozba- wiało, bo czuł że za nim cały stoi Śląsk. I nie ugiął się ani na chwilę.

Trwał ciągle i nieugięty, i zszedł ze stanowiska swego nie wcześniej, aż gdy więzienna wilgoć pokru- szyła mu kości, przemieniając go w ruszający się szkiele- let. Wielki człowiek, opatrnościowy człowiek, i jeżeli Śląsk Górny jest tem czem go dziś widzimy, w prze- ważnej części jemu ma to on do zawdzięczenia.

Wyczuliśmy to też wszyscy doskonale gdy do Warszawy 40 lat temu zawitał, i kiedy na uroczystej uczcie w Resursie Obywatelskiej jaką go wtedy uczci- liśmy, znany literat Piotr Jaxa Bykowski, zręcznie na- wiązując do jego nazwiska słowa Odkupiciela Świata: „jaką miarką mierzycie taką wam będzie odmierzono“, wyraził się w pięknym wierszu, że wdzięczna Polska miarą wielką ocenia jego zasługi, cały nasz narodowo usposobiony ogół przyklasnął jednomyślnie tym jego słowom, widział w nim bowiem ucieleśnioną iskrę, podkładaną pod próchniejący gmach tyranji pruskiej na Śląsku naszym, by go spopielić i rozsypać w popiół i proch.

Mówiąc o Miarce, czyż podobna zamilczeć mi nazwisko biskupa Bogedajna.

Niemiec z urodzenia i Niemiec z języka, ale nie z tych zdeprawowanych dzisiejszych Niemców, których zgangrenowała nauka Bismarka, w pierwszych latach działalności nauczycielskiej Miarki w Pielgrzymowicach, zetknął się z nim jako rządowy wizytator szkolny, i kochając lud śląski rozbudził w nim miłość do tego ludu. I rzecz szczególna, miłość odmienną całkowicie od tej, jaką rozbudzać chcieli jego rodacy. Bo wbrew zamiarom rządu pruskiego usiłującego za wszelką cenę lud ten zatopić w morzu niemieckim, Bogedajn chciał go widzieć polskim, i czując że gwałt na duszy mści się okropnie na gwałcicielach, odpierał jak mógł i gdzie tylko mógł rządu swojego gwałty. Zaopiekował się więc Miarką, zanim ten jeszcze ze Stalmachem się zeszedł, i gdy wielki działacz nasz narodowy w Cieszynie wyrwał doszczętnie z jego serca chwast i kłokol nauk krzyżackich, on mięką ręką cisnął je ku ziemi, by ku szkodzie ludu tego nie pleniły się zbyt bujnie. Kiedy więc ma się na myśli i na ustach narodowe odrodzenie Śląska Górnego, byłoby grzechem pominąć tego sprawiedliwego Niemca, który acz nie Polak, właśnie dla tego że był sprawiedliwym, w kronikach tej krainy nazwisko swoje niezatartemi zapisał zgłoski. Nigdy też nie zapomnę słów wdzięczności, w jakich mi Miarka opowiadał o tym człowieku, gdym na skromnym włościańskim wózku przebiegał z nim drogę z Mikółowa gdzie w roku 1879 przemieszkiwał, do

Królewskiej Huty, podnosząc mi wymowne rysy jego charakteru, jakże niepodobne do tych rysów jakie Niemcom po Sedanie pod rządami starego Wilhelma i komedianckiego jego wnuka, dziś na wygnaniu w Holandyi wyczekującego trwożnie swojego losu zdobyły nienawiść i wstręt całego świata.

W tej pobudce nawołującej do odrodzenia Śląska od wystąpienia na scenę Lompy, nie brakło przecież i poetycznej narodowej nuty. Tę jej wniósł utalentowany, a zupełnie nam prawie nieznan ks. Damrot. Związany urzędem z rządem pruskim, pod odsłoniętą przyłbicą nie mógł on w obawie przed jego zemstą nawoływać ludu do polskości, przybrał więc pseudonim Lubińskiego, i ukryty pod nim, mową Bogów wzywał go by nie sprzeniewierzał się Bogu swojemu. Wzywał słowy rzewnego uczucia, oburzenia, a nawet i groźby.

Kiedy na wniosek największego naszego wroga Bismarka, którego Niemcy jeśli się kiedy odrodzą przeklinać niezawodnie będą, gdyż on je gangreną potwornych swoich zasad struł, uchwalono w roku 1886 w Berlinie sto miljonowy fundusz na wykupywanie dla Niemców ziemi polskiej, po pełnej cynizmu jego mowie w parlamencie by szlachta polska szła do Monachium trwonić tam pieniądze otrzymany od Niemców za ojcowiznę, Damrot, acz uchwała ta nie godziła wprost w Górnoślązaków bo tam szlachty polskiej niema, w silnych słowach dał wyraz swojemu oburzeniu.

Żywo mi stoją w pamięci te jego słowa. Oto one:

„Sto milionów marek, to nie fraszka
Można wykupić województwo całe
Lecz walka z ludem polskim nie igraszka
Aby go zniszczyć i Niemcy za małe”.

3.

Poezje Damrota pisane językiem literackim rozeszły się wśród Górnoślązaków w dwóch wydaniach i do dziś cieszą się na Śląsku naszym wielką poczytnością. Zaslugują na to pod każdym względem, dźwięczy w nich bowiem nuta tęsknoty za tem co tam przeszło, nadziei że zajaśnieje słońce, które ozłoci promieniem jasnym śląskie niwy.

Ale choć piękne słodkie i rzewne, i duchem wiary i nadziei przepelnione, pozbawione są one siły poezyi innych z jakimi spotykałem się w moich częstych podróżach po Śląsku. Daleko więc im jest na przykład do wiersza o tym skowroneczku, którego Ślązak zrobił swym pośrednikiem do Boga w sprawie prześladowań jakich doznawał od Prusaka. Żali mu się w nim więc on rzewnie i pięknie na swoje cierpienia, zazdrości mu jego doli o wiele od jego szczęśliwszej, prosząc go w końcu, by bujając po przestworzach i szybując ku niebiosom, Panu nad Pany poskarżył się na niegodziwego Niemca za niego. Do tego wiersza, wierszom Damrotowym daleko, daleko również i do tego, wspaniałego w formie i treści, który na nutę krakowiaka podnosił niejednokrotnie mojego

ducha, gdym na zebraniach Ślązaków słyssał go śpiewanego gromkim głosem mężczyzn i kobiet.

Posłuchajmy tego wiersza, odzwierciadła on bowiem uczucia tych, którym niejednokrotnie służył i służy ciężkie przeżycia w srogiem jarzmie Krzyżaka.

„Polska mowa święta, święta ukochana,
Z matki ust przejęta, z jej piersi wyszana
Milej nam niż dzwony, dzwonią twoje dźwięki
Za to też winniśmy Panu Bogu dzięki.
Ludzie się uwzięli wytepić cię wszędzie
Ale pewno z tego, da Bóg nic nie będzie,
Bieda nam ach bieda, z tą niedolą nową
Że nas ciągle trapią obcą jakąś mową,
Trapią ci nas trapią, od nocy do rana
Ale polskiej duszy nie zmieniaj oj dana,
Wiele wody w Odrze, w Wiśle jeszcze więcej
Wiele w niej upłynie niż nas zniemczą Niemcy.
Cieszcie się panowie wyrazami swemi,
My zaś w mowie ojców Boga chwalić chcemy
Kujcie nas jak chcecie nic nie wykujecie
O śląskie żelazo grot swój rozbijecie.
Gdy mi przyjdzie stanąć u wieczności progu
Wtedy polską mową polecę się Bogu
I gasnącym głosem zawołam w pokorze
Grzesznej mojej duszy bądź miłościw Boże”.

Proszę teraz podłożyć pod te przepiękne wiersze melodję naszego krakowiaka, proszę się duchem przebieść na zebrania górników naszych w Królewskiej Hucie, Hucie Laury lub rolników w Opolu, i powiedzieć, czy świadek tego niejednokrotny na tych zebraniach, nie mogłem opuszczać ich by powracać pod

jarzmo Moskala, z wiarą w duszy niezachwianą ani na chwilę, że zarówno ten tyran pruski, jak i ten który nam krwawił ziemie przysiadłe do wybrzeży Wisły, Pilicy, Bzury, Niemna, Wili i Wilejki, nie ostoją się wobec mocy naszego ducha, i że przyjdzie, przyjść musi jak Bóg nieśmiertelny na niebie ten wielki tryumfalny dzień, w którym powaleni o ziemię stwierdzą swym upadkiem ducha tego niespożytą moc.

Ale i ten wiersz tak ukochany przez naszych Ślązaków, nie maluje nam jeszcze w dostatecznej mierze siły ich uczuć i wiary.

Tę zaklął inny wspanialszy jeszcze i potężniejszy od niego.

Najwspanialszy chyba i najpotężniejszy ze wszystkich, jaki wyszedł z pod pióra pragnącego odbić pogardę swą dla tego, kto skuszony przez wroga swojego narodu, k'woli jego interesowi wyrzeka się najświętszych swoich dóbr.

Rozporządzam skąpo miejscem, dla niedostatku onego szkicować jeno mogę wspaniały odrodzeńczy narodowy ruch na Śląsku, nie mogę przecież powstrzymać się od przytoczenia i tego również wiersza, właśnie dla tego że w nim znajduje wyraz ta bezgraniczna dla zdrajcy ojczystego kraju pogarda.

Wiersz ten, każda Polka i każdy Polak wyrzyć powinni spiżowemi zgłoski w swojej pamięci. Oto on:

A jeśli Ciebie zapamięta,
Ty wiaro święta, moje serce,
To niech odpadnie mi zeschnięta

Prawica moja, niech oszczerce
I wrogі będą moi sędzie,
I niechaj pamięć moja będzie
Przeklęta!

A jeśli Ciebie ja zapomnę
Ojczyzna moja, ziemio święta,
To niechaj pomrą bezpotomnie
Synaczki moje pacholęta,
I niechaj serce me bez wiary
Przygniecie brzemię i ciężary
Ogromnie!

A jeśli Ciebie stłumię w łonie
Ojczysta mowa, to ułomne
Me serce w bólu niech utonie
I niech się kurczy wiarołomne,
Niech ze szpon troska mię nie puści,
Niech język przyschnię do czeluści
Przy zgonie!

A jeśli puszcze Cię z opieki
Ma ojcowizno, mój zagonie,
Niechaj mię trapią wieczne spieki
A nawet jeśli lżę uronię
Niech spali się w pożarów dymie
I niech przypadnie moje imię
Na wieki.

W literaturach wielkiej poezji pięciu języków, którymi po za moim ojczystym władam, nie znam wiersza równego temu pod względem przywiązania do kraju i siły. Mylę się, znam, ale tylko jeden. W literaturze angielskiej. Wyśpiewał go genialny twórca Czcieli Ognia, Tomasz Moor. Ale wiersz śląski uwa-

zam za wyższy od angielskiego. Bo gdy wielki Anglik, w usta jednego z bohaterów swojego poematu włożył słowa przekleństwa dla nędznika zdrajcy kraju swojego, rozkazując nawet owocowi gdy zgłodniały włoży go on w swoje usta zdradzić go i rozsypać mu się w proch, Ślązak w tym wierszu poszedł od niego dalej. Przeklął samego siebie. Za odstępstwo od swojej wiary, za zapomnienie o ojczyźnie swojej, za stłumienie w łonie drogiej mu mowy polskiej, za wypuszczenie z rąk swoich Niemcowi swojej ziemi. Za to wszystko sam siebie przeklął. I tem przekleństwem nad przekleństwami, stwierdził swoją łączność z Polską, i za obelgę jaką mu nędznik pruski rzucił w twarz zwał go pogardliwie Wasser polakiem, i ucząc go że Polska jest krajem najnędzniejszym z nędznych, odpowiedział mu w słowach takiego patryotyzmu, że na szczytniejsze i silniejsze, nigdy i nigdzie nie zdobyła się mowa człowieka.

4. -

Oto nie obraz, ale szkic, odrodzeńczego ruchu na Górnym Śląsku. Ale ruch ten przeszedł i po za Górny Śląsk. Udzielił się Średniemu. Temu, na którym Niemiec dokonał już szatańskiego swojego dzieła, stłumił w przeważnej jego części w ustach ludu nasz język.

Jak wiadomo, uchronił się tam on w szczęściu tylko ewangelickich powiatach, dogorywał pod naporem tego, który niby lawina prac na nasze ziemie

i plugawiąc nam te ziemie, jak huragan niszczył wszystko. Ale dogorywając nie skołał. A że nie skołał, zasługę w tem ma w znacznej cześci Alfons Parczewski. On to wysiłkiem własnym, powoławszy do redaktorskiej pracy Pastora Badurę, pierwszy w roku 1884 przemówił do niego słowem polskiem w założonych we Wrocławiu „Nowinach Śląskich“, on był tym Lompą, tylko o ileż wyższym od Lompy, który w sercach jego dzieci lat cały szereg siał niezatrute polskości ziarno. I jako dobry syn ojczyzny swojej i błogosławiony siewca, ma dziś większe od innych prawo radować się, gdy ludu tego poważne odłamy, gotują się zasiać z całą powołaną do lepszego życia Polską, przy wspólnej wyzwolenczej biesiadzie.

! tu więc wśród tych ewangelickich Ślązaków, w warunkach o ileż od katolickiego Śląska gorszych, idea przed wojną robiła już swoje, i tu rozsadzała krzyżackie pęta, świadcząc wymownie o tem, że nie ma siły, któraby nieśmiertelnego ducha zmódz była w stanie, jeżeli tylko znajdą się ludzie podnoszący go, by z nędz tej ziemi unosił się, uszlachetniając i kierując tę ziemię ku gwiazdom i słońcu. W jasnej kronice rwącego się ku szczytnym ideałom życia, ludzie tacy złotemi zgłoski zapisują imiona swoje, paraliżując zamysły tyranów, a piramidę ciemnizny narodów rozsypując w proch.

* * *

Dobiegam do końca, — zanim jednak skończę, słowo:

Więc na potoku niszczycielskiej pracy Molocha pruskiego wszystko przeszło, na głębinie męczeństwa Górnśląskiego ludu zniknęło wszystko, pozostało to, co jak słusznie w natchnionym swoim, przytoczonym przezemnie na wstępie wierszu zaznaczył Krasieński, nie przeminie nigdy. Nieśmiertelna, urągająca brutalnej materji, — idea.

Kiedy więc Prusak wyteżył wszystkie siły by Śląsk polski ostatecznie zgnieść, ta idea od zagłady go uratowała.

Co uderza gdy się przygląda siłom tych, którzy drzemiącą w masach tę ideę urzeczywistnili w twórczym czynie? Małoliczność ich i słabość w stosunku do sił pracujących od wieków nad jej unicestwieniem. Lompa, Stalmach, Bogedajn, Miarka a nieco później Damrot, Rostek, Napieralski, Korfanty i Koraszewski na Śląsku, niezmiernych zasług, ofiarności i poświęcenia Osuchowski Antoni i Alfons Parczewski, że pomnę paru innych mniej od nich bez porównania zasłużonych pozagranicami jego, oto gromadka, którą bez trudu objęłyby cztery ściany, niewielkiej na poddaszu lub w suterynie komnaty. A z przeciwnej strony? Olbrzymia armja wytresowanych niby sfera gończych psów do niszczycielskiej roboty urzędników, wsparta na bagnietach gotowych każdej chwili zgnieść opór, gdyby kto kiedy okazać się go jej ośmielił, zsolidaryzowany z nią jak mąż jeden, wielki liczebnie i oświecony ale nienasycony w swej żarłoczności naród, ożywiony niegodziwem pragnieniem, by ziemie

podsiępnie ukradzione i skrwawione przez bandytów pruskich nie oderwały się od Prus nigdy. Kiedy się więc o tem pomyśli, staje na pamięci genialny wiersz wielkiego twórcy Dziadów:

„Człowieku, gdybyś wiedział jaka twoja władza
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza

I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze,—

i powtarzając sobie ten wiersz w duchu, w końcowych jego słowach chciałoby się odnaleźć talizman, zdolny zakląć każdą Polkę i każdego Polaka w tych przełomowych historycznych dniach jakie obecnie przeżywamy, do spotęgowania wszystkich wysiłków, by w wiernej służbie tej idei szczytnej, która Śląsk odrodziła, odrodzić męczoną przez katów srogich, ale nie zamęczoną całą Polskę.

Uprzytomnijmy sobie w chwili gdy kończę ten mój szkic te słowa, wryjmy trwale je sobie w pamięci, krzesząc z siebie ogień święty spopielający wszystko, co Śląskowi na drodze do połączenia się z nami stoi.

Oto te nieśmiertelnego wieszczka naszego i proka narodowego słowa, oto ich bezcenna nauka, mówiąca nam, ile dobrego a nawet i wielkiego możemy zrobić zawsze, każdy poszczególnie i wszyscy razem dla kraju, jeżeli tylko nie bagatelizując swoich sił, jak się wyraził Wyspiański, „zechcemy chcieć“:

„Ludzie! każdy z was mógłby samotny, więziony
Myślą i wiarą zwać i podzwigac trony”.

BIBLIOTEKA

h. inw. 208.

Wyższe Szkoły Polit. - Wych.



James Lee

BRITISH

1871-1872



7644/1

N^o 114.